

CUKIERNIA

POD AMOREM

Małgorzata
Gutowska-Adamczyk

CUKIERNIA

POD AMOREM

CZĘŚĆ DRUGA
CIEŚLAKOWIE



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2010
Text © copyright by Małgorzata Gutowska-Adamczyk 2010

Projekt okładki *Krzysztof Kibart*

Wstęp

Latem 1995 roku archeolodzy z Uniwersytetu Warszawskiego odkopują pod rynkiem w Gutowie, nieopodal cukierni Pod Amorem, zasypane podczas drugiej wojny światowej korytarze. Znajdują tam zmumifikowane szczątki młodej kobiety, która ma na palcu bardzo stary, być może nawet średniowieczny, złoty pierścień. Właściciel cukierni, Waldemar Hryć, jest tym faktem mocno poruszony, ponieważ klejnot, jedyny dowód na szlacheckie pochodzenie jego dziadka, Pawła Cieślaka, zaginął dawno temu w niewyjaśnionych okolicznościach.

Pradziadkiem Hrycia był dziedzic dużego majątku ziemskiego, hrabia Tomasz Zajezierski. Uwiódł on pod koniec XIX wieku niejaką Mariannę Błatko, wnuczkę organisty z Zajezierzyc i córkę miejscowej szeptuchy¹ Zuzanny mającej dar proroczy. Aby przekonać dziewczynę o swych czystych intencjach, hrabia podarował jej tenże pierścień, ofiarowany po bitwie pod Grunwaldem jednemu z jego przodków przez wielkiego księcia Witolda Kiejstutowicza, krewnego króla Władysława Jagiełły.

Hryciowie uważają pierścień za rodzinny skarb. Celi-
na, matka Waldemara, poszukiwała go całe życie, ponie-

¹ Osoba odczyniająca uroki, babka, wiedźma.

waż to właśnie jej i jej starszemu bratu Zygmunutowi ojciec powierzył przed śmiercią cenną pamiątkę.

Iga, córka Waldemara, pragnie dowiedzieć się, kim była kobieta, której szczątki odnaleziono, i wyjaśnić w zastępstwie unieruchomionej po udarze mózgu babki, kto podczas okupacji mógł wyjąć pierścień z ukrycia. Pomaga jej w tym jeden z archeologów, zainteresowany tą historią. Towarzyszy dziewczynie podczas wycieczki do pobliskich Zajezierzyc, gdzie w odrestaurowanym pałacu znajdują się hotel oraz niewielkie muzeum.

Dzięki pamiątkom zebranych przez emerytowanego dyrektora hotelu Iga zaczyna poznawać członków rodziny Zajezierskich: swoją praprababkę, matkę hrabiego, Barbarę z Sokołowskich, Adriannę z Bysławskich, jego żonę, oraz jej siostry – Wandę, która z powodu zawiedzionych nadziei na małżeństwo z Tomaszem została zakonnica, oraz Kingę – ta z tego samego powodu próbowała się utopić, a potem wbrew woli rodziny wyszła za mąż za Rosjanina.

Iga nie dociera jednak do najskrytszych tajemnic rodziny, a zwłaszcza do zapomnianej przepowiedni, jakoby ród Zajezierskich miał się skończyć, jeśli panu na Zajezierzycach urodzi się dwóch synów o tym samym imieniu.

Tymczasem 24 grudnia 1895 roku w Zajezierzycach i odległym Chicago na świat przychodzi dwóch chłopców spłodzonych przez hrabiego Tomasza. Jeden z nich dostaje na chrzcie imię Paweł, drugi zaś Paul. Od tej chwili los rodziny jest przesądzony.

1995

*T*ej sierpniowej nocy Waldemar Hryć, cukiernik z ponadtrzydziestoletnim stażem, po raz pierwszy w życiu zepsuł ciasto drożdżowe. Zamordował je własnoręcznie, pochłonięty przez niedające się opanować, natrętne fantazje o pięknej Helenie Nierychło.

Zanim niepodzielnie zawładnęła jego myślami, zaglądała do cukierni Pod Amorem jedynie jako klientka. Otaczała ją zła sława złodziejki mężów, co mogło dziwić, bo przecież sama miała męża. O dekadę starszy Ryszard Nierychło, emerytowany major wojska polskiego, miał swoje lata, ale nie zasługiwał na miano starca! Dlaczego pozwalał jej szargać swój honor? Czyżby był ślepy na prawdę?

W mieście tak małym jak Gutowo każda tajemnica musi się prędzej czy później wydać. Poprzedza ją plotka, w którą początkowo mało kto wierzy. Kobiety u fryzjera opowiadają ją sobie dla zabicia czasu, a potem nagle – buch! – ktoś zobaczył, kto inny potwierdził i sprawa staje się publiczna.

Nierychło musiał zdawać sobie sprawę, że jego żona poszukiwała przygód, a przynajmniej od nich nie stroniła. Jaka więc tajemnica wiązała ich małżeństwo?

*

Być może nad tym właśnie zastanawiał się Waldemar Hryć, wyrabiając ciasto drożdżowe na jagodzianki w formie mumii, które tak świetnie rozeszły się poprzedniego dnia. Kiedy sięgał po cukier, nawet nie zauważył, że – całkowicie pochłonięty przez dręczące go troski – dodał do produktu soli.

Pragnął Heleny, myślał wyłącznie o niej. Pożądał jej, jak tylko mężczyzna po jedenastu latach seksualnej abstynencji może pożądać kobiety. Jako że nie miał żadnych kontaktów cielesnych od śmierci żony, był bezbronny niczym dziecko. Zawróciła mu w głowie. Został niespodziewanie zaatakowany i zdobyty bez słowa protestu.

Poznali się miesiąc wcześniej w teatrze w Płocku. Dochodziło południe. Ona przygotowywała we foyer wystawę gobelinów, on chciał wypożyczyć jakiś kostium na Dni Gutowa dla Igi. Uśmiechnęli się do siebie niczym para starych znajomych, a przecież wcale się nie znali! Ona powiedziała:

– Pan Hryć! A co pan tu robi? – jakoś tak całkiem naturalnie. – Może kupi pan mój gobelin? Wszystkie są na sprzedaż.

Była zjawiskowa. Rudowłosa i pulchna. Nieco po trzydziestce. Miała okrągłą twarz, zielone oczy, dwa ujmujące dołeczki w policzkach, szczupłe dłonie, zgrabne nogi, drobne stopy i wyzywające, wysoko uniesione piersi. Pachniała oszałamiająco, a jej zwiewna, prowokacyjnie rozpięta sukienka więcej odsłaniała, niż usiłowała zasłonić.

Patrząc na nią, Hryć przypomniał sobie, że istnieją kobiety. Nie matki, córki, żony, klientki, kontrahentki, nauczycielki, ekspedientki, pielęgniarki. Uświadomił sobie cudowne zjawisko, jakim są kobiety w ogóle. Westchnął na wspomnienie ich tajemniczego zagłębienia między pier-

siami, słonego smaku spoconej skóry, zapachu włosów schnących na słońcu. To wszystko, o czym zdążył zapomnieć, przygnieciony przez codzienne troski, Helena zawarła w jednym tylko spojrzeniu.

Zrobiło mu się gorąco. Zmieszał się nieco, nie chciał zostać uznany za gbura. Popatrzył na gobeliny. Nawet ładne: trochę widoczków, martwa natura, jakieś portrety, wreszcie akt, czyżby samej autorki?

– Czy my się znamy? – zapytał nieśmiało, nie odwracając wzroku od tkanin.

– Któż nie zna cukierni Pod Amorem i jej właściciela? – odpowiedziała słodko.

– Pani jest z Gutowa? – Domyślił się wreszcie i w lot chwycił okazję. – Proszę mi pomóc, błagam panią!

– Skoro pan błaga... – Uśmiechnęła się rozbawiona. – O cóż chodzi?

Gdyby Iga przypuszczała, komu zawdzięcza swoją kreację, pewnie jej radość nie trwałaby długo. Nie domyśliła się jednak, kto dokonał wyboru, i nigdy nie miała się tego dowiedzieć.

To zresztą było bez znaczenia, ponieważ równocześnie działo się tyle innych niepokojących rzeczy. Wystarczyło, że spojrzała na ojca, a od razu się zorientowała, że coś zaszło. Nagle zaczął podśpiewywać! Kupował sobie nowe koszule i spodnie, do czego nigdy nie mogła go namówić. Zmienił wodę po goleniu. Raz po raz mył samochód.

No i ciągle miał jakieś sprawy w Płocku, a kiedyś nawet nie wrócił na noc! Powiedział, że zabrakło mu paliwa i wołał się zdrzemnąć w wozie, niż leżąc tyle kilometrów po ciemku przez las. Co tak pilnego załatwiał wieczorem, kiedy wszystkie urzędy i hurtownie są dawno zamknięte, tego nie umiał wytłumaczyć. Natychmiast zmienił temat.

Nie znalazł też odpowiedzi na pytanie, czemu nie złapał do Gutowa okazji. Ofuknął ją tylko, że się czepia. Iga wciąż miała przed oczami jego twarz, kiedy podczas Dni Gutowa patrzył na nieznaną kobietę. Wyglądał jak zakochany! Gdyby sama tego nie widziała, nie uwierzyłaby! Przecież to absurd! Jednak zobaczyła ich i to stanowiło problem. Jak miała wezwać ojca do opamiętania? Przecież był dorosły. Dlaczego zresztą miałby się opamiętać? Bo jego żona, a jej matka umarła? Nawet do Igi nie przemawiał ten argument. Bo tamta jest od niego młodsza? Co z tego, skoro obydwójce są pełnoletni? Na razie Iga nie знаła tej kobiety, nie mogła więc posłużyć się jej mężem jako ostatecznym powodem do zerwania. Czuła do rudowłosej instynktowną niechęć, ale przypuszczała, że to zazdrość, i bardzo się wstydziła. Wyrzucała sobie, że ojciec ma prawo do szczęścia, a ona małostkowo i samolubnie mu je odbiera.

Na razie była o niego tylko zazdrosna, niedługo miała zacząć się bać.



*M*arian Cieślak pochodził z zapyziałej, cuchnącej, otoczonej złą sławą ulicy Dobrej na warszawskim Powiślu. Jego ojciec Julian był piaskarzem, a matka Paulina, wiecznie w ciąży, niańczyła kolejne pociechy i brała po lepszych domach pranie. Choć pracowali dużo i ciężko, na ogół nie mieli co włożyć do garnka, bo dochody były niewielkie, a gąb do wykarmienia wciąż przybywało.

Tłoczyli się w dwuizbowej suterenie, gdzie prawie nigdy nie wpadało światło słoneczne, a zapach wilgoci mieszał się z oparami mydła i gotowanych w lupinach ziemniaków. Dzieci, cierpiąc dotkliwy głód, szybko zaczęły chodzić na żebry, a potem nauczyły się kraść. Sprytnie były maluchy i w domu zaraz się poprawiło. Póki młodzi Cieślakowie okradali przekupki na Rynku Starego Miasta, ich łupem zaś padały bułka, pęto kiełbasy, jajko czy główka kapusty, nikomu nie opłacało się gonić złodziejasków, czuli się więc bezkarni. Ale w miarę upływu czasu ich apetyty i ambicje rosły, tak więc musieli zmienić metody i teren działania.

Aby nie rozpoznały ich poszkodowane handlarki, zaczęły grasować na schodkach łączących Tamkę z Okólnikiem, zapuszczali się nad Wisłę, gdzie cumowały galary¹

¹ Płaskodenna czworoboczna łódź do przewożenia towarów.

z płodami rolnymi i zawsze kłębił się tłum handlujących i kupujących, na plac Żelaznej Bramy do Gościnnego Dworu po towary łokciowe², norymberszczyznę³ i buty, na Grzybów po węgiel i drewno w drobno porąbanych, obwiązanych sznurkiem szczapkach, na plac Zielony⁴ po mięso, ryby i drób, na plac Trzech Krzyży po dziczyznę oraz na Sewerynow⁵ po artykuły przemysłowe.

Przywódcą i mózgiem bandy był najstarszy z rodzeństwa, Zenek. Gdy tylko zauważył, że w mniejszej grupie łatwiej jest operować, szybko wprowadził tę innowację w życie. Wałęsali się po mieście trójkami i nigdy nie zdarzyło się, by wrócili z pustymi rękoma. Najmłodszy Marian, zwany Mariankiem lub Marysiem, zaczął uczestniczyć w kradzieżach już w wieku pięciu lat. Na ogół stał na czatach bądź zagadywał przekupki, a jego specjalnością był płacz na zawołanie, który robił niemało zamieszania i kruszył serca, wywołując zainteresowanie i litość. Zenek, wtedy piętnastoletni, zawsze brał malucha ze sobą, bojąc się, że młodsze rodzeństwo zostawi go gdzieś lub zgubi w tłumie podczas ucieczki. Marian uwielbiał najstarszego brata. Darzył go bałwochwalczym wręcz szacunkiem za bezczelność, spryt, polot, a przede wszystkim za fantastyczną umiejętność wspinania się po gzymsach.

W związku ze zmianą taktyki rosły też łupy małych przestępców – nie były to już jedynie artykuły spożywcze, ale również rozmaite przedmioty codziennego użytku. W domu wciąż panowała bieda, więc nie gardzili niczym, kradli w sklepach, na podwórkach, w mieszkaniach. Przy-

² Tkaniny.

³ Pasmateria.

⁴ Obecnie plac Dąbrowskiego.

⁵ Bazar między obecną ulicą Kopernika a Obozną.

nosili do domu wiadra, poduszki, miotły, buty, nawet zerwane z trzepaków dywany.

W tym czasie ich ojciec, porzuciwszy znienacka niewdzięczną pracę piaskarza, przesiadywał całymi dniami Pod Łosiem albo w Ostatnim Groszu, a matka, której sprzykrzyło się pranie, weszła do interesu, sprzedając fanty Żydom. By trefny towar nie został przypadkiem rozpoznany, wynosiła go aż na Kercelak⁶, tam inkasowała kilkanaście kopiejek, czasem rubla czy dwa, zawzięcie się targując, po czym pieszo wracała na Powiśle.

Od swoich klientów, paserów, przynosiła też zamówienia na konkretne towary, co spowodowało, że rodzinne przedsiębiorstwo Cieślaków weszło w nową fazę rozwoju. Teraz trzeba już było działać planowo, zdecydować, dokąd się udać celem dokonania kradzieży. Każda z trzech grup wyspecjalizowała się w innych skokach. Jedni poszukiwali psów rasowych, inni ćwiczili się w „krawiectwie”, czyli kradzieżach kieszonkowych, a Zenek, który uwielbiał ryzyko, został „pajęczarzem” – kradł suszącą się bieliznę oraz inne dobra przechowywane na słabo zabezpieczonych strychach.

Z czasem rodzina zmieniła mieszkanie na obszerniejsze, przeniosła się do porządniejszego domu, zaczęło jej się lepiej powodzić, zwłaszcza że bez przerwy besztana przez żonę głowa rodziny Cieślaków, Julian, także wszedł do interesu. Teraz mieli środki na życie i na zabawę. Chodzili do cyrku przy Ordynackiej, do Doliny Szwajcarskiej na koncerty i do teatrów ogródkowych, by się pośmiać, pogapić i wychylić kufelek piwa.

⁶ Zajmujące ponad hektar największe targowisko przedwojennej Warszawy, znajdujące się w dzielnicy Wola. Funkcjonowało od 1867 do 1942 roku.

W miarę jak rodzina się bogaciła, a dzieci dorastały, każde z nich zaczęło pracować na własną rękę. Bogusława nawiązała bliskie kontakty z subiektami sklepowymi, którzy wynosili pod płaszczykami towary ze swoich firm, a potem dzielili się z nią zyskiem. Broniek wkręcił się na Kercelaku do bandy Ślepego Anzelma, gdzie najpierw jako „świeca” ochraniał swojego patrona, potem został mianowany na naganiacza, wreszcie na krupiera. Karol, najprzystojniejszy z rodzeństwa, uwodził służące, które skuszone perspektywą zaręczyn okradały swoich pracodawców, tracąc dla wybranka głowę i posadę. Sprytny jak małpa Wicek wchodził do mieszkań „na lipko”⁷, a Krystyna, szopenfeldziarka⁸, kradła w sklepach. Marceli był „złomiarzem”, grasował przy ozdobionych metalowymi literami pomnikach miejskich oraz cmentarnych, ale nie gardził też żadną rurą, klamką ani sztabą. Bernard okradał pasażerów tramwajów. Marian, wtedy już piętnastoletni, był „bajerantem” – chodził od mieszkania do mieszkania i gdy tylko natknął się na drzwi niezamknięte na klucz, kradł, co mu się nawinęło pod rękę: okrycia, buty, parasole. Nakryty przez któregoś z domowników, zagadywał, próbował coś sprzedać, pytał o jakieś nazwisko lub prosił o szklanekę wody.

Najstarszy Zenek w tym czasie już się wyprowadził z domu i utrzymywał siebie i żonę z okradania pasażerów statków pływających po Wiśle oraz podróżnych w pociągach.

Aż dziw, że tak długo udało się im wszystkim działać bezkarnie! Być może stało się tak dlatego, że ginęli w tłumie sobie podobnych, mieszkali bowiem w okolicy,

⁷ Włamanie do mieszkania przez lufcik podczas snu gospodarzy.

⁸ Złodziej sklepowy.

gdzie większość sąsiadów miała coś na sumieniu. Może dlatego, że nie obnosili się ze wzrastającym dobrobytem? Może wreszcie mieli szczęście? Jednak rok 1890 nie był dla nich pomyślny. Na nieudanych skokach wpadła trójka z rodzeństwa: najpierw Wicek, uciekając przez okno, przyłapany na gorącym uczynku, zleciał z gzymsu wprost w objęcia stróża. Potem Krystyna została zatrzymana przez subiekta sklepowego ze schowanymi w wewnętrznej kieszeni palta towarami o wartości kilkuset rubli. Wreszcie Bernard, jadąc tramwajem, próbował okraść policjanta w cywilu.

Wszystkie te pechowe przypadki zdarzyły się w jednym kwartale, a każde z trójki sąd skazał na kilka tygodni aresztu. Przy okazji trafili też do policyjnych kartotek. Równocześnie rodzinę poddano dyskretnej obserwacji szpicli i ta kara okazała się najdotkliwsza, bo znacznie utrudniała złodziejski proceder. Ale nie było już odeń odwrotu, ponieważ innego życia Cieślakowie nie znali. Żadne nie chodziło do szkoły i nie miało przyuczenia do jakiegokolwiek zawodu. Praca fizyczna w opowiadaniach ojca jawiła się jako nudna, monotonna i źle płatna, podczas gdy każdy skok dostarczał emocji, środków do życia i okazji, by poświętować.

W końcu trójka aresztantów opuściła więzienie w Arsenale i wróciła do domu. W drugi dzień Zielonych Świątek uczczono to zbiorową wyprawą na odpust parostatkiem do Młocin. Był maj, piękna pogoda i po zakończonej mszy u kamedułów oraz obowiązkowym kuflu piwa u Bochenka siedzieli dwanaścioro (bo do rodziny dołączyła żona Zenka, Eliza) na kocach pod drzewami i rozprawiali o tym i owym, zwłaszcza zaś zastanawiając się nad przyszłością.

Eliza nosiła wtedy pod sercem małego Cieślaka i los tegoż właśnie, nienarodzonego jeszcze, ale oczekiwanego